

JEANNINE
MEIGHÖRNER



Sisi

w Tyrolu

Serce, które wciąż gdzieś gna

LIRA
WYDAWNICTWO

Sisi
w Tyrolu

J E A N N I N E
M E I G H Ö R N E R

Sisi
w Tyrolu

L I R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2018

ISBN: 978-83-65838-68-1

*Dla Rosemarie i Ornelli,
które oczarowują nas wszystkich.*

„Nie ma złych ludzi — są tylko nieszczęśliwi”.
Felix Mitterer

I

*Innsbruck, 15 czerwca 1848 roku, przed świtem
w klasztorze dla dam szlacheckiego pochodzenia*

Miasto jeszcze śpi, domy nie otworzyły oczu.

Ale chwileczkę! Tam, po schodach, nie zwracając uwagi na ozdobne balustrady i efektowne skręty, przemyka jakaś postać. Jej twarz jest przesłonięta kapturem peleryny. Postać kieruje się w ciemność. I to zadziwiająco pewnym krokiem...

Za murami wytwornego budynku upada porządek świata. Dobrze, że mury są grube. Nie musi zaprzętać

sobie głowy żadnym przewrotem, tym całym bałaganem na zewnątrz. Bo co to niby ma być: rewolucja?

Poza tym mroczna postać ma swoje własne małe kłopoty, które ją mocno absorbują. Tak to już jest z ludźmi.

— Jakaś klątwa ciąży nade mną! Kogut jeszcze nie zapał, a ja mam szukać tego czorta? Kto rano wstaje, temu pan Bóg daje, ale przecież nie czorta! Niech diabli tego czorta wezmą! — pomstuje zakapturzona postać.

— Stój! Kto idzie? Pokaż twarz! — dobiega z głębi sieni grzmiący głos.

Brzmi, jakby wydobywał się z atramentowej toni jeziora, pewnie należy do mistrza ciemności.

Zakutana postać wzdryga się. Ciężkie buty stukają na kamiennych schodach, rozjarza się knot, a w jego świetle metalicznie połyskuje klinga. Skierowana jest w stronę naszej postaci.

— Chcesz mnie zarżnąć? Jak jakąś świnię? — rozlega się pisk spod kaptura.

Kaptur zostaje ściągnięty i lampa oświetla szeroko otwarte ze strachu oczy. To twarz dziewczyny.

— Oho! Patrzcie tylko, Paulina znowu wymyka się po nocy! Taa, ciągnie wilka do lasu.

W głosie mężczyzny słyhać satysfakcję z niespodziewanego odkrycia, ale i nutę radości.

Strażnik ma rudą, sięgającą piersi brodę, która w świetle lampy przypomina krzew gorejący. Ciemna peleryna i filcowy kapelusz z szerokim rondem zdradzają, że i ta potężna postać woli poruszać się w nocy niezauważona.

— A idź, ty wstrętny świetliku! Lepiej zabrałbyś się za łapanie bandziorów, a nie kobiety straszył! — pewnym głosem pokrzykuje dziewczyna i próbuje przecisnąć się obok ogromnego mężczyzny.

Ten zamaszycie kieruje w jej stronę szpic halabardy.

— Oho! Paulina z niewyparzonym językiem. Nie wolno ci się wałęsać po nocy. To ja tu jestem strażnikiem!

— Ach, Sepp, co z ciebie za cep. Mam zadanie do wypełnienia, dlatego zerwałam się z łóżka — wyjaśnia dziewczyna i macha z rezygnacją ręką.

— Aaa, znowu nie do swojego trafiłaś? Już my, strażnicy nocni, znamy wasze tajemnice. Nic się przed nami nie ukryje w ciemnościach, wyczujemy każdy oddech, każdy zapach. Wasze cienie są naszymi sprzymierzeńcami. Wiemy nie tylko, co

mają na sumieniu grzesznicy, ale i o czym marzą ci, co sztywno trzymają się zasad...

— Ty to już niczego sztywno nie utrzymasz — przerywa mu Paulina. — I nie masz pojęcia, co robię. Muszę znaleźć to diabelskie nasienie!

— Przerażasz mnie, Paulino! — Sepp ponownie oświeśla lampą jej szczupłą twarzyczkę.

— Przerążam? Ja ciebie? Spójrz no tylko... — zaczyna nagle szczebiotać i opuszcza upięte na głowie warkocze. Splecione blond włosy opadają jej na piersi. Rozchyła pelerynę, kieruje w jego stronę dekolt, a następnie ujmuje się pod boki i kołysze biodrami, jakby jej szara sukienka służącej była suknią balową.

Jak gdyby tego było mało, żeby otumanić mężczynę, zaczyna cicho śpiewać.

Papageno marzy o dziewczynie lub kobiecie

Łagodna gołąbeczka byłaby dla mnie

błogosławieństwem.*

— Gołąbeczka? Też coś! Jastrząb z ciebie, nie gołąb — mruczy Sepp, po czym opiera halabardę

* Wolfgang Amadeusz Mozart, *Czarodziejski flet*, libretto Emanuel Schikaneder, tłumaczenie Katarzyna Zimmerer.

o balustradę i odstawia lampę na schody. Jej blask oświetla gołe kostki i łydki Pauliny. Rozmarzony mężczyzna skubie brodę, podczas gdy ona dalej markuje taneczne kroki, nucąc arię Papagena.

*Wtedy jedzenie i picie bardziej by mi smakowały.
Nie zazdrościłbym losu żadnemu księciu,
Korzystałbym z życia jak mędrzec
i czułbym się jak w raju.*

Nagle potyka się i bezładnie macha rękami. Sepp łapie ją, chroniąc przed upadkiem.

— Zakręciło mi się w głowie, jest tak wcześnie — dyszy Paulina.

— Mogę zostać twoim Ptasznikiem z Tyrolu — śmieje się Sepp i obejmuje ją ramieniem.

— Ty, rudobrody opoju? O fu! Blee! — Krzywi się z odrazą, po czym szturcha go łokciem i uwalnia się z jego objęć.

Mężczyzna chwytą się z jękiem za żebra. Nieprzespane noce, górskie chłody i rozgrzewający sznaps mocno nadwyrężyły masywne ciało strażnika. Kiedy jednak spogląda na gwiazdy, które tylko tu, w górach, świecą tak licznie i jasno, i kiedy obserwuje, jak

poranny brzask złoci wierzchołki Nordkette i Serles, jego uciążliwa praca wydaje mu się najpiękniejszym zajęciem na świecie.

Teraz jednak przystawia pięść do twarzy dziewczyny. Pod sam nos. Przed czarująco zadartym noskiem, który Paulina tak chętnie krzywi i wściubia w nie swoje sprawy, zawisa potężna zaciśnięta męska dłoń.

— Powąchaj tylko! — mówi.

Podświetlona od dołu scena wygląda jak ze sztuki kryminalnej.

— Fu, wystarczy, że czuję twój oddech. I cuchnącą brodę. Capi kozłem, który oźłopał się wody — stęka Paulina i gestem pokazuje, jak ją mdli.

— Co za tupet, i to u takiej jak ty! Ze Schmirntal nawiała, a taka bezczelna. Dziękuj Bogu, że urody ci nie poskąpił. Bo inaczej...

— Co inaczej? — pyta Paulina zadziornie.

— Inaczej posłałbym cię w diabły, ty górską wiedźmo.

— Ależ to ja szukam diabła, osłe! To mnie po niego posłano!

— Nie bujaj, wracasz od jakiegoś gacha. Czy kozioł ma cię przeszukać? Wolno mi przeszukać każdego podejrzanego — nawet kobietę. Ha!

Sepp pociąga Paulinę za warkocz, ale lekko, raczej dla żartu. Tymczasem ona nadeptuje mu bezpardonowo na stopę. Sepp aż krzyczy z bólu i puszcza ją.

— Wracaj lepiej do swojej żony, gamoni! — słyszy jeszcze i potyka się o halabardę, która z hukiem stacza się po schodach.

— Opijusy jedne! Zaraz zawołam straż! — rozlega się z piętra piskliwy kobiecy głos. — To ty, Paulino? — słyhać po chwili.

Sepp chwyta zruganą dziewczynę za rękę i wciąga do ciemnej sieni, a tam wpycha pod schody. Potem cicho wchodzi z powrotem po schodach i gasi światło. Nawykły do poruszania się w ciemności, wraca ze zgaszoną lampą do kryjówki, w której siedzi roztrzęsiona Paulina.

— O nie, obudziła się ta stara pokojówka Meindl, tego tylko brakowało. Sepp, musisz mi pomóc! — lamentuje.

Sepp rozpała lampę tak, że jarzy się małym płomieniem.

— Bo inaczej co? — mamrocze pod nosem, regulując knot.

— Bo inaczej odeśle mnie z powrotem do domu, do matki. A tam w górach bieda, nie ma co do

garnka włożyć. Mam ośmioro rodzeństwa i za każdym razem, kiedy ich odwiedzam, w maleńkiej izbie jest już kolejny głodomór. A Meindl nie żartuje, to można pani, miastowa. Sam wiesz, jak wysoko trzymają nos niektórzy w Innsbrucku. Dla nich jesteśmy muchami, co zlatują tu ze wsi.

— To nie Meindl cię wysłała po tego czorta?

Paulina kręci głową.

— Ta jędza sama ukrywa belzebuba pod spódnicą — chichocze Sepp. — Powiedz wreszcie, od kogo dostałaś to zadanie? — pyta, przytrzymując ją za rękę.

— Od dziecka — mówi cicho.

— Ty, góraska wiedźma z niewyparzonym językiem, słuchasz poleceń dziecka? — dziwi się głośno Sepp.

— Ciii! — Paulina kładzie palec na ustach. — To księżniczka, wpadła w histerię — szepcze.

— Skoro to księżniczka, to dlaczego nie mieszka w zamku, tylko nocuje w klasztorze u sióstr?

— Na zamek cesarski nie są dość wytworni.

— I przez taką jedną musisz się uganiać po nocy?

— Ach, Sepp, mój drogi, taki dobry strażnik jak ty potrafi chyba schwytać diabła?

Paulina przytula się do jego szerokiej piersi, odwraca jednak przy tym głowę i zatyka nos palcami.

— Ty fałszywa żmijo! Nie, diabła szukał nie będę.

— Sepp odsuwa od siebie Paulinę i robi znak krzyża.

— Diablicy szukamy.

— Diablicy? Czyżby diabeł miał żonę? Właściwie... sam mam diablicę za żonę! — Znowu robi znak krzyża.

— Słuchaj, szukamy dziewczynki. Najmłodszej księżniczki z Monachium — wyjaśnia Paulina.

— Czarci pomiot z Monachium? Z Bawarii? Tych to trzeba by zrzucić z jakiegoś szczytu! Możesz spytać Hofera!

— O Boże, daj już spokój z tym Hoferem. Niech spoczywa sobie w tym swoim marmurowym grobowcu — wzdycha Paulina.

— Diabelski pomiot pewnie i tak się niedługo wystraszy i wróci z płaczem do łóżka. Tacy są ci Bawarczycy — burczy on.

— Sepp, to nie jest zwyczajna dziewczynka. Ma dopiero jedenaście lat, a przychodzą jej do głowy najdziksze pomysły. Jak jakiemuś chłopakowi. W chusteczkę do nosa wsunęła mi martwą jaszczurkę,

wyobrażasz to sobie? Serce mi niemal zamarło, jak zaczęłam dmuchać nos. Nie może toto usiedzieć w miejscu. Wciąż ją gdzieś nosi! A nawija jak bawarski rozwoziciel piwa! I w dodatku mamrocze. Czy ci ludzie nie wiedzą, co to dobre wychowanie?
— Paulina wznosi ręce do nieba.

— Hofera spytaj — zrzędzi Sepp.

— A ty wciąż tylko Hofer i Hofer, co za bzdury! Nie masz nic mądrzejszego do powiedzenia?

— Twój państwo też nie byli za mądrzy, że przywieźli ten diabelski pomiot do klasztoru. Akurat tam, gdzie te stare baby...

Paulina wymierza mu kuksańca.

— Gdzie te damy — poprawia się Sepp — siedzą tylko jak porcelanowe lale albo śpią. Potrafią zasnąć w trakcie modlitwy...

— Dzięki Bogu większość tych dam ma kłopoty ze słuchem — przerywa mu Paulina. — Bo to, co to dzięki stworzenie powiedziało, jest naprawdę niesłychane, a dama nawet myśleć o czymś takim nie powinna!

Paulina przysłania twarz skrajem szarego fartuszka. Sepp wzrusza ramionami.

— Mnie możesz powiedzieć.

Paulina jednak nadal milczy.

— Nie będę się już naśmiewał ze Schmirntal — dodaje nagle Sepp słodko, przestępując jednak przy tym niecierpliwie z nogi na nogę.

— Sam pochodzisz z kloacznego Koatlackn. Wyciągnęli cię z najbrudniejszego miejsca Inn. Ze ścieków! — Paulina odsłania twarz i pokazuje Seppowi język.

— Zawsze to lepsze niż... — burczy mężczyzna.

Paulina ponownie zakrywa twarz fartuszkiem. Sepp reflektuje się i przyklęka, chcąc oprzeć głowę na jej kolanach. A gdy ona robi gwałtownie krok w tył, strażnik traci równowagę i pada na ziemię.

— Królewno Paulino, zrodzona z chłodu wiecznego śniegu, co powiedziała ta bawarska dziewczynka? — stęka, wsparłszy się na łokciach.

— A mówi się, że to kobiety są ciekawskie.

Paulina opiera stopę na jego plecach.

— Toż jestem strażnikiem, krucafuks! Muszę wszystko wiedzieć, wszystko słyszeć i widzieć. Szczególnie jeśli chodzi o bawarskich nicponi. — Sepp z trudem powściąga ciekawość. — Łaskawa Królewno, Pani Śniegu, prooszę!

— Obiecay, że dasz mi spokój, kiedy będę tu krążyć po nocy.

— Krążyć po nocy? Czyżbyś była ćmą? Z chłopakami się spotykasz!

— Z wytwornym panem — odpowiada kokieteryjnie Paulina.

— Nie doceniasz strażników. Umieję zgrzywać głupiego. Łatwo mi to przychodzi.

— To widać.

Paulina podchodzi do podnoszącego się z ziemi mężczyzny.

— Uważaj, bo mogę cię wydać. Z twoich kawalerów można by stworzyć całą kompanię! A pokojówki uwielbiają takie zwierzenia. Nawet porcelanowe lale w klasztorze uwielbiają słuchać grzesznych historii, choćby i mdlały od tego — tak dla pozorów.

Sepp staje z powrotem na nogi i konspiracyjnie zaciera ręce.

Paulina tupie ze złości.

— Niech ci będzie, ciekawski koźle — prycha.

— Bawarska smarkuła mówi, że chce występować w cyrku!

— W cyrku? — Sepp przygryza sobie dłoń, żeby nie parsknąć śmiechem.

— A przecież w cyrku są tylko bezwstydnice! — ciągnie Paulina. — To nieprzyzwoite! W dodatku

twierdzi, że również jej ojciec występuje w cyrku. Swoim własnym!

— Na Boga! I to mają być arystokraci? W życiu!
— wyrywa się Seppowi.

— Ta bawarska dziewczynka wygląda też inaczej. Ma ciemne oczy i warkocz, tak długi i gruby jak ogon konia.

Paulina nachyla się do Seppa.

— To na pewno Cyganie — szepcze.

— Wszyscy Bawarczycy to Cyganie! Możesz spytać Hofera — dodaje ze śmiechem.

— W jej okrągłej twarzy nie ma nic pięknego. Ładna to jest jej starsza siostra. Ona ma jasne włosy. I to ona mnie wysłała na poszukiwania, bo młodsza zniknęła z pokoju, w którym razem spały — dodaje Paulina.

— Może to kukułczy podrzutek? — Sepp ponownie zaciera ręce. — A kim chce być w tym cyrku, co? — mruczy jeszcze.

— Woltyżerką chce być...

— Kobieta i woltyżerka? O nie!

— No wiesz, już teraz potrafi stać na końskim grzbiecie podczas jazdy — na kucyku w galopie. Potrafi też galopować, siedząc twarzą do tyłu. I tak

odwrócona skacze przez przeszkody. — Paulina wy-
daje się zdumiona własną opowieścią.

— Widziałaś to?

— Jedna bawarska pokojówka mi opowiedziała.
— Kręci głową Paulina. — Ta, która układa końskie
włosy tego dzieciaka. Mówi, że tych sztuczek uczy
ją jej ojciec. Ale nie to jest najgorsze! — Paulina
zawiesza teatralnie głos.

Sepp znowu przygryza sobie dłoń.

— Ta pokojówka mówi też, że przebrany za bła-
zna chodzi na jarmarki. Śpiewa tam i gra na cytrze,
a jego córka przy tym tańczy. Z rozpuszczonymi
włosami, a potem zbiera monety, które rzucają
chłopcy ze wsi. Jeśli to nie Cyganie, to możesz mnie
nazwać głupią kozą!

Dla podkreślenia swoich słów Paulina wznosi
w górę oczy.

— Moje uszanowanie, Jaśnie Pani Kozo! — Sepp
zdejmuje kapelusz.

— Jesteś jeszcze głupszy, niż myślałam — złości
się Paulina i chce mu odebrać kapelusz.

Sepp trzyma go jednak wysoko na wyprostowanej
ręce i Paulina, choć wspina się na palce, nie może
go dosięgnąć. Przeklina więc, dając upust złości.

— Oho! Tak cię wkurzają ci Bawarczycy? Czasem wzburzenie nie jest takie złe — śmieje się Sepp. — Ale cyrkową hołotę nie ma się co przejmować. I tak niedługo wyjadą, jak nam, strażnikom, powiedziano.

— Nie to jest najgorsze... — wzdycha Paulina.

Jej mocno zarumienione policzki błyszczą w świetle lampy.

— Jest coś gorszego niż młodziutka Cyganezka, która występuje w cyrku i twierdzi, że jest księżną?

— Sepp gwizdże przez zęby.

— Tak, wyobraź sobie, że ma wyjść za mąż! Za kogoś z naszych stron! — sapie Paulina, przerywając nieudaną pogoń za kapeluszem Seppa.

— Za kogoś z Austrii? Hurra! To się zgłoszę. Jaśnie Pani Kozo, chciałbym prosić o rękę tej młodej Cyganki. Proszę się za mną wstawić! — Sepp wymachuje kapeluszem w powietrzu i kłania się, jakby składał propozycję.

— Oj, Sepp, co z ciebie za cep. Podśluchałam, że chcą ją i jej siostrę wydać za książąt z Wiednia. Wiedeńczycy zostaną tu dłużej, spędzą wakacje, korzystając z naszego świeżego górskiego powietrza.

— Wakacje, powiadasz? Dobre sobie! — Sepp uderza się kapeluszem w pierś, wzbijając przy tym

tyle pyłu, że Paulina aż kicha. — Niezłe wakacje. Nie czytasz gazet, bidoku ze Schmirntal?

Ona kręci głową i nadąsana wysuwa dolną wargę.

— W Wiedniu trwa rewolucja! Przed Hofburgiem, a nawet w Schönbrunie stoją barykady. Taa, w Wiedniu strzelają na ulicach. — W głosie Seppa słychać gniew zmieszany z podekscytowaniem.

— Strzelają? A czego chcą ci zuchwalcy?

— Nie mają co jeść! Zima była ciężka. Głodo-
wa. A studenci podnoszą wrzawę, że monarchia się przeżyła.

— Prze... przeżyła? Monarchia? I... co cesarz na to? — Paulina wygląda na całkiem zbitą z tropu.

— Nie wiadomo. Uciekł, udając, że wybiera się na przejażdżkę. I cały ten wiedeński kram ściągnął tu do nas. Bo my, Tyrolczycy, jesteśmy wierni. Chętnie oddajemy życie za cesarza i ojczyznę. Nawet jeśli jest takim idiotą... Możesz spytać Hofera.

Paulina wymierza mu lekki policzek. On chwytają ją za rękę.

— Nigdy więcej tego nie rób! Już ja wiem, czemu się tak złościsz — warczy.

— Czeemu? — piszczy w jego mocnym uścisku Paulina.

— Jesteś zazdrosna! Ta cyrkówka potrafi robić rzeczy, jakich nie potrafi żadna inna kobieta. A nawet habsburscy książęta. Ha! A cesarz to już w ogóle...

— Co takiego potrafi? — syczy Paulina.

— Świetnie jeździć konno ryzykując swoje młode życie. I pieniądze zarabiać potrafi. Szkoda tylko, że jest z Bawarii. Za to twoi wiedeńczycy — ci to nic nie umieją.

— Wredny jesteś, Sepp. Prawdziwe księżniczki są takie mądre!

— Mądrze tylko gadają. A wyglądają, że pozał się Boże — irytuje się.

— A, jeszcze pływać potrafi ten bawarski dzieciak. Co na to powiesz? Czy dama to ryba? — utyskuje Paulina.

— Twoje wytworne księżniczki utoną, jak przyjdzie co do czego — śmieje się z niej Sepp, ale puszcza jej rękę.

Paulina rozciera nadgarstek i zalewa go potokiem słów:

— Matka tej dziewczynki też jest dziwna. Mówi się, że w młodości była piękna i że to córka bawarskiego króla. Ale ja w to nie wierzę, nawet jeśli lokaje

tak twierdzą. Eskapady jej cygańskiego męża złamały jej serce. A on ma ponoć jeszcze całą chmarę dzieci — z innymi kobietami. I wcale się ich nie wypiera. Tylko wszystkim pokazuje sztuczki. A ta rozwydrzona smarkula jest jego najlepszą uczennicą...

— Pauliiiiino! Przyprowadź panienkę! — rozlega się ponowne wołanie z piętra. Głośne i władcze.

— Boże, ratuj, to znowu ta Meindl. Jeśli się dowie, że nawet nie zaczęłam jej szukać, to mogą pakować manatki — lamentuje Paulina. — Bożesz ty mój, gdzie tu najpierw zajrzeć? — Skrajem szarego fartuska ociera napływające do oczu łzy.

— A gdzie się szuka cyrkowej woltyżerki? — pyta wyraźnie udobruchany Sepp.

— W cyrku? Ależ my tu nie mamy cyrku — wzdycha Paulina.

— A o stajni nie pomyślałaś?

Paulina kręci głową.

— To ruszajmy. Weź moją lampę. Jej światło sięga po Schmirntal, niech ci rozjaśni w głowie — głośno ponagla Sepp i schyla się po halabardę. — A jak się ta woltyżerka nazywa? — dopytuje.

— Bawarczycy wołają na nią Siiisiii. — Paulina przeciąga samogłoski.

— Siisiiii? Też coś! Chociaż lepsze to od italskiego NoNo — stwierdza ze śmiechem Sepp.

— Na jej siostrę mówią Néné, właściwie nazywa się Helene, a braci nazywają Gackel, czyli Kogut, i Lulu. Dziwni z nich ludzie.

— Jak to Bawarczycy! — śmieje się znowu Sepp.

— Siisiiii brzmi jak imię jakiejś szkapy, cyrkowej chabety! — obrusza się Paulina, po czym chichocze z własnego pomysłu, a kiedy Sepp zaczyna naśladować końskie parskanie i tętent kopyt, wybucha śmiechem.

I tak to gadatliwa pokojówka i jej pomocnik znikają w ciemnościach nocy.

* * *

Dziewczynka wie, że nadchodzą. Zauważyła blask lampy, słyszy sapanie i głosy.

— Fu, ależ tu cuchnie.

— E tam, stajnie ładnie pachną!

— No, może w porównaniu z tobą.

— Wydaje ci się, że pięknie pachniesz, bo znasz zapach bogaczy? A to tylko zapach perfum, nic

więcej niż martwe kwiaty. I jeszcze pudru, i zimnego potu. Zapach próżniactwa.

— Prostack z ciebie, Sepp.

— Tak? To sama sobie szukaj tej bawarskiej dziewczoi.

* * *

Ci ludzie chcą mnie znaleźć? A robią tyle hałasu! Cóż, dzięki tej ich gadaninie mam czas się schować — myśli dziewczynka i zaszywa się głębiej w sianie. Pięknie pachnie słońcem i góorskimi ziołami — tak uważa. Jeszcze piękniejszy jest według niej zapach rumaków. Uwielbia zapach swojego Gustla. U jego kopyt przesiadywała, jeszcze zanim zaczęła chodzić. Siwek jest jej przyjacielem. Nigdy nie chciała się z nim rozstać, dlatego w czasie podróży prowadzono go za powozami.

W stajni koło Gustla jest jej w każdym razie lepiej niż w łóżku koło Néné, gdzie było duszno i gorąco, a siostra marudziła jak małe dziecko, że boi się tego obcego domu z ciemnymi korytarzami. Skończyła już trzynaście lat, a taka strachliwa. Ona, dwa lata

od niej młodsza, nie boi się niczego. Dzikość ma we krwi, po swoim ojcu, uważa matka.

* * *

Ledwie dotarli do Innsbrucku, matka nakazała Sisi:

— Będziesz spać u Néné. Dopilnuj, żeby nic jej nie niepokoilo. Nasza piękna Helena potrzebuje snu. Musi zrobić dobre wrażenie na wiedeńskich krewnych.

— A ja? — spytała Sisi.

— Ty, Elżbieto Amalio Eugenio, ty nas tylko za bardzo nie skompromituj — upomniała ją matka.

Wymieniła przy tym jej wszystkie imiona, co znaczyło, że traktowała to bardzo poważnie.

Tej nocy Néné skarżyła się najpierw na tęsknotę za domem, potem na obce pomieszczenia, dziwne zapachy, twarde łóżko, a później wystraszyła się jakiegoś szmeru.

— Jakaś bestia chce mnie ugryźć! — wrzasnęła.

Bestią okazała się myszka, nawet nie szczur, ale mała mysz. Stworzonko miało cudne, przypominające

perły granatu oczka, ale od zawrota Néné natychmiast czmychnęło z powrotem do dziury w ścianie.

Sisi zatkała myśią dziurę eleganckimi pończochami Néné. Siostra, głuptas, nic nie zauważyła, twarz schowała pod kołdrą. O wiele za ciepłą. Ale rano może zrobić o to awanturę.

W pokoju obok słychać chrapliwy oddech matki. Kiedy boli ją głowa, zawsze chrapie. W podróży jest kłębkim nerwów, przez co dojazd na miejsce dla wszystkich staje się torturą.

Z wyjazdu w góry cieszyła się przynajmniej Sisi.

— Oby tylko nie odziedziczyła po ojcu także jego pasji podróżowania. Nie, nie pasji, lecz szalu podróżowania. Serca, które wciąż gdzieś gna — wzdychała matka, widząc dziecięcą radość Sisi. — Po tej młodej dzikusce wszystkiego można się spodziewać — utyskiwała.

Matka otulona była czarną, przypominającą kir, podróżną peleryną, a jej twarz przybrała woskowy odcień, mimowolnie kojarząc się Sisi z gromnicą.

Ból głowy pojawił się w okolicy Rosenheim i zawiądnął matką całkowicie — niczym demon. Kazała zasłonić okna ciemnym sukniem. Ojjoj!

— Te dalekie wyjazdy mnie wykończą. Życie stracę dla dzieci — skarżyła się.

Zaczęła się próba wytrzymałości: dwaj synowie i dwie córki — w wieku nastoletnim, spragnieni życia i nowych widoków — musieli dzielić nieamortyzowany, zaciemniony powóz z cierpiącą na chorobę lokomocyjną matką.

Przykre zajście miało miejsce w Kufstein: matka zwymiotowała na nogi Sisi. Samą żółcią, już bowiem podczas wcześniejszego postoju mocno sobie ulżyła. Jednak to nie Néné ani żaden z braci zostali oblani żółtawym strumieniem. Jak zwykle, chociaż właściwie — co matka mogła na to poradzić?

Sisi obmyła pantofle i wypłukała pończochy w Inn. Własnoręcznie. Tak bardzo lubiła wodę, że miała ochotę zostać dłużej nad połyskującą zieloną roślinnością rzeką. Słuchała jej szumu, bulgotania bystrzycy. W pewnej chwili jeden pantofelek wyslizgnął jej się z rąk i odpłynął szybko przy powierzchni niczym karp polujący na owady. Sisi wyznała to matce, nie okazując jednak większej skruchy, przez co nastrój matki jeszcze się pogorszył.

— Najwyżej w Innsbrucku będę chodzić boso, nawet tak wolę — stwierdziła Sisi.

Przekora tym bardziej nie sprzyjała poprawie samopoczucia matki. Na wypadek gdyby znowu musiała zwymiotować, trzymała odtąd przed twarzą kapelusz. Czy nie był zbyt kosztowny? Nowy model z Paryża, kupiony specjalnie na ten wyjazd, przybrany czarnymi piórami.

„Ogon zdechłego kruka” — drwił z kapelusza matki ojciec. On i to jego toporne poczucie humoru.

Ogon zdechłego kruka, choć nie był może prawdziwą ozdobą na głowie matki, to pomógł jej przynajmniej utrzymać przy sobie zawartość żołądka.

W powozie wciąż jednak unosił się kwaśny zapach. Śmierdzący zaduch w szarpiącym na boki, mrocznym więzieniu.

Sisi cieszyła się z przedłużenia postoju nad Inn po tym, jak jeden z jej pantofelków zamienił się w karpia. Gdyby tylko jej pozwolono, bez trudu mogłaby za nim popłynąć.

Czy matka domyślała się, że celowo upuściła go do wody? W prezencie dla rusalek. Poza tym i tak nie znosiła takich wytwornych pantofli. To więzienia dla stóp — uważała.

Świetnymi butami są tylko drewniaki. Chłopskie buty. Sprawdzają się też jako łódki. Mogła w nich

puszczać na wodę swoje świnki morskie. Te jednak kwiczały przy tym niezadowolone. Wbrew swojej nazwie nie okazywały zapału do rejsów morskich. Ich nazwa to oszustwo.

W rodzinnym Possenhofen góry przycupnęły za jeziorem jak zgarbione karły. Pierwszoplanową rolę odgrywa tam woda. Jezioro Starnberg żywi miejscowych rybaków i uzdrowia każdego, kto tylko na nie spojrzy. Jak w zwierciadle odbijają się w nim tańczące na niebie chmury, wędrujące słońce, migoczące gwiazdy. Ach, jej ukochane Possi.

Za Kufstein góry wznosiły się aż do nieba, a niektóre ściany były tak urwiste, że nic na nich nie rośło. Groźne szare olbrzymy.

— Przerażają mnie te skały — wyznała Néné. Miała pobladłą twarz i wyglądała na chorą.

— A mnie się podoba w Tyrolu — wykrzyknęła Sisi, klaszcząc w dłonie. Chyba tylko na złość starszej siostrze.

— W tej dzikiej scenerii wszystko się rozstrzygnie — zapowiedziała nagle matka.

— Co się rozstrzygnie? — chciały wiedzieć dzieci.

Najbardziej kategorycznie domagał się wyjaśnienia Lulu. Miał siedemnaście lat i był już prawie

mężczyzną, ale i on zrezygnował, gdy wyczerpana matka nie odpowiadała. Jej twarz miała kolor zastygłej kaszy.

Kiedy po niekończących się — jak się zdawało — dniach i godzinach dojechali do Innsbrucku, na wpół żywa matka powróciła do życia. Zdziwiająco szybko.

— Cudowne uzdrowienie! Alleluja! — wykrzyknęła Néné.

Tak, matka modliła się chętnie i żarliwie. Ona, Sisi i jej rodzeństwo modlili się po prostu dlatego, że tak trzeba. Sisi słyszała, jak ojciec powiedział kiedyś: lepiej się sprostestantyzować, niż otumaniać kadzidłem. Nawet matka się wtedy roześmiała.

Wreszcie powóz przestał być karawanem, a stał się jego przeciwieństwem: szkatułą, która kryje w sobie przyszłość! Matka nie znosiła podróżowania i przez całą drogę skupiała się jedynie na swoich tajnych planach. Ledwie wysiedli ze śmierdzącego powozu i weszli do skrzypiących pokoi, matka zaprowadziła ich na modlitwę:

— To klasztor dla szlachetnie urodzonych dam, tu nie cierpią złych manier. Jesteśmy prowincjuszami, a wiedeńscy krewni są wytworni. Pamiętaj o tym, Sisi, to odnosi się głównie do ciebie!

— Mogła mnie mama zostawić w Possi, tam było tak possibilitiesznie.

— Żebyś przez całe lato łąziła po drzewach i łapała żaby z wiejskimi łobuzami? Albo babrała się w gnoju stajennym? Czas, żebyś poznała wiedeńskie kuzynostwo i zaczęła się zachowywać jak na damę przystało. Spójrz na mnie, kiedy do ciebie mówię, Elżbieto Amalio Eugenio!

Przed chwilą jeszcze chora matka gdakała teraz jak rozsierdzona kwoka.

Wszystko to chodziło Sisi po głowie, kiedy razem z Néné położyła się w dusznym pokoju. Spać? O nie, to nie wchodziło w grę. Wymknęła się stamtąd chyłkiem. W koszuli nocnej, bez butów. I co z tego? Buty, które miała na nogach podczas uroczystego powitania — bo wśród tych wiedeńczyków trzeba nosić buty — to mordęga. Mordercze buty. Zrobiły jej się od nich dwa pęcherze. W Possi cały czas chodziła boso, jak było ciepło. Szczęśliwe letnie dni na bosaka.

Wymykając się, Sisi zabrała ze sobą różową etolę Néné — elegancką jedwabną etolę, którą siostra miała na sobie wieczorem — oraz jej rogową spinkę do włosów. Nigdy nie wiadomo, kogo się spotka w nocy. A zatem mała przechadzka? Świetnie!

— powiedziała sama do siebie. Grzeczność będę musiała tu okazywać jeszcze wystarczająco wiele razy. I uprzejmość. Dla Néné to chwile świetności, a dla mnie — męczarnia, przyszło jej jeszcze do głowy. Tym właśnie było dla niej wielogodzinne przyjęcie w cesarskim zamku — udręką. Ciotka Zofia cały wieczór dręczyła ją i Néné, nieustannie taksując je wzrokiem. Na Lulu i Kogutka nawet nie spojrziała.

W Possi o tej porze poszłaby popływać. Potajemnie. Jakże uwielbia blask księżyca na nagiej skórze. Krople wody zamieniają się wtedy w płynne srebro, a ona — w rusałkę. Najodważniejszą z córek Neptuna. Teraz jednak jest w środku miasta, w wytwornym towarzystwie. Dokąd więc ma pójść? Do stajni! Tak, tam przynajmniej jest swojsko. Znane sapanie koni, ciepło, przytulne schronienie w sianie.

* * *

Rozmyślania Sisi zostają gwałtownie przerwane. Idylliczną atmosferę stajni zakłócają jacyś ludzie: co za gaduły! Czyżby to była grupa poszukiwawcza?